

MARGINESY

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Zareczyny

Rodzice Ewy i Piotrka zginęli w wypadku samochodowym. Piotrek był wtedy tuż po dwudziestych urodzinach, Ewa miała piętnaście lat. Przez kolejne lata Piotrek zastępował swojej siostrze rodziców – był opiekunem, powiernikiem, opłacał rachunki, robił zakupy i wszystko to, o czym do czasu wypadku nie miał bladego pojęcia. Oboje musieli błyskawicznie dorosnąć, ale to na Piotrka spadła większość obowiązków. Mieli to szczęście, że ich rodzice prowadzili dość dochodową firmę i mieli spore oszczędności, które wystarczyły na kilka lat spokojnego życia. Mimo że Piotrek nie przerwał studiów, przez cały czas pracował. Oboje z Ewą nie wyobrażali sobie, że mogliby sprzedać dom i zamieszkać gdzie indziej, jednak kolejne pomysły Piotrka na zdobycie większych pieniędzy zawsze kończyły się fiaskiem. Nie wyszło mu handlowanie deskami snowboardowymi, sprowadzanie bajeranckich czapek ze Stanów ani reszta mniej lub bardziej dziwnych pomysłów, na które wpadał.

Ewa miała dwadzieścia jeden lat, gdy Piotrek wymyślił, że jedynym sposobem na zdobycie szybkich i w miarę łatwych pieniędzy jest wydanie jego siostry bogato za męża. Pomysł tak mu się spodobał, że nie chciał słyszeć o sprzeciwie Ewki, z kolei ona czuła się przyparta do muru, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby nie jej brat, pewnie po śmierci rodziców wyładowałaby w domu dziecka. Nie chciała się zgodzić na pomysł Piotrka, ale nie była także w stanie mu się całkowicie przeciwstawić.

Wybór Piotrka padł na jego kolegę ze studiów – bardzo zamożnego faceta z dobrego domu, dość przystojnego i niegłupiego, ale nieprawdopodobnie zadufanego w sobie. Piotr przygotował cały plan – chciał przygotować przyjęcie, na którym para miała się poznać, a później wszystko miało już pójść łatwo i szybko. Piotrek zadbał o to, żeby Ewa wyglądała olśniewająco, spisał jej, o czym ma rozmawiać ze swoim przyszłym mężem i jak ma się zachowywać. Dziewczyna dość bezwolnie robiła wszystko to, co kazał jej brat, a że od razu wpadła w oko Andrzejowi, który był celem planu jej brata, całość stała się dość prosta w realizacji.

Przez następne tygodnie Ewa spotykała się z Andrzejem i po każdym spotkaniu czuła, że uczestniczy w jakiejś komedii. Udawała kogoś, kim nie była, żeby wyjść za męża za kogoś, kogo nie kochała. Do tego Andrzej tylko pozornie był miłym chłopakiem z dobrego domu. Wystarczyły trzy drinki, żeby wychodził z niego troglodyta. Dawał wtedy upust swoim chamskim skłonnościom, zapominał o dobrych manierach, pokazywał, jakie ma prawdziwe poglądy. Po pierwszym takim występie Ewa była trochę przerażona. Później doszło do niej, że tak naprawdę Andrzej jest całkiem niegroźnym byczkiem, który także udaje kogoś innego.

Rodzice Andrzeja bardzo polubili jego nową dziewczynę. Pasowała do ich wyobrażenia synowej, więc po dwóch miesiącach matka zaczęła zachęcać swojego jedynego synka do oświadczenia. Plan Piotrka nie przewidywał jednak jednego – dla rodziny Andrzeja oczywiste było, że para podpisze intercyzę. Piotrek z kolei obiecywał siostrze, że właściwie od razu będzie mogła starać się o rozwód. Wszystko złożyło się jeszcze tak, że tuż przed zaplanowanym ślubem Ewa poznała młodego florystę, który miał zajmować się kwiatową oprawą jej ślubu. Ewa całkowicie się w nim zakochała, jednak nie miała odwagi nikomu o tym powiedzieć.

W dzień ślubu panna młoda nie wyglądała jak z obrazka. Miała podpuchnięte od płaczu oczy, nie była w stanie się nawet na chwilę uśmiechnąć, a w wielkiej sukni czuła się jak bezowe ciastko. Dawno już straciła pewność, że to, co robi, jest właściwe. Przez jej głowę co chwila przelatywały myśli o tym, żeby pobiec co sił w nogach do samochodu i uciec. Nie mogła tego jednak zrobić Andrzejowi, jego rodzicom, a przede wszystkim swojemu bratu, który w ostatnim czasie popadał w coraz większe tarapaty finansowe.

Ślub, w całości zorganizowany i opłacony przez rodziców Andrzeja, był wprost bajkowy. Wszyscy bawili się znakomicie, oprócz Ewy, która przez cały dzień z trudem powstrzymywała łzy. Starła się robić dobrą minę do złej gry, ale i tak wychodziło jej to wyjątkowo pokracznie.

Małżeństwo Ewy i Andrzeja rozpoczęło się miesiącem miodowym na azjatyckiej wyspie – prezentem od rodziców pana młodego. Miało być pięknie, ale całość wyjazdu była dla Ewy tym bardziej przygnębiająca, że jej mąż zaczynał pokazywać się w coraz gorszym świetle. Pił codziennie, a po alkoholu stawał się coraz większym chamem. Potrafił sam narobić bałaganu, a potem zwzywać hotelową obsługę. Następnego dnia budził się albo niczego nie pamiętając, albo udając, że nic się nie stało. Ewa była pewna, że w takim związku długo nie wytrzyma.

Po powrocie było właściwie jeszcze gorzej. Piotrek, brat Ewy, stawiał coraz to nowe żądania i wymuszał coraz więcej pieniędzy. Okazało się, że od jakiegoś czasu regularnie odwiedza kasyna, przepuszczając wszystko, co ma, i zadłużając się, u kogo się da. Do tego Ewę męczyło udawanie, że wszystko jest w porządku – w ciągu dnia musiała ładnie wyglądać, ładnie się uśmiechać, bywać z mężem na bankietach i zachowywać z klasą, a wieczorami zносиła tę samą osobę w roli pijaka i awanturnika. Po którejś z takich imprez miarka się jednak przebrała. Już podczas imprezy wstawiony Andrzej wyśmiewał się przy wszystkich z jej naiwnych poglądów. Potem drwił także z innych jej wypowiedzi, dogryzał, a gdy mu odpowiedziała, uderzył ją z całej siły w twarz. Ewa nie wytrzymała i popchnęła go. Andrzej zatoczył się, poślizgnął i huknął głową o kamienną posadzkę. Ewa od razu przytomnie zawiadomiła pogotowie, które stwierdziło zgon na miejscu. Była przerażona i otepiała, ale później poczuła ogromną ulgę.

I to właściwie koniec – Ewa niedługo potem spakowała się, wynajęła mieszkanie, które razem z majątkiem odziedziczyła po mężu, i wyjechała z kraju. Zostawiła w banku dyspozycję, żeby co miesiąc na konto jej brata była przelewana konkretna suma, która pozwalałaby mu na wygodne życie, gdyby tylko jej nie przegrywał w kasynie. Ona sama miała ochotę przez jakiś czas podróżować, a potem zacząć wymarzone studia w Paryżu.

Kamil Stoch – i kto?

W chwili obecnej olbrzymia rzesza sympatyków sportu zainteresowana jest rywalizacją w rosyjskim kurorcie Soczi w ramach XXII zimowych igrzysk olimpijskich. Tę rywalizację przybliżają nam telewizyjne przekazy. Od razu rzuca się w oczy, że obiekty sportowe są bardzo dobrze przygotowane do zawodów. W dodatku usytuowane są w przepięknym krajobrazie, co z pewnością dodaje uroku sportowej rywalizacji. Należą się więc duże brawa rosyjskim organizatorom. Cieszy również fakt, że rywalizacja przebiega bez zakłóceń.

W sportowych zmaganiach bierze udział 59-osobowa polska ekipa, a więc najliczniejsza w historii naszych startów w zimowych igrzyskach olimpijskich. Ekipa liczna, ale jakościowo raczej słaba. Wielu naszych sportowców wyjechało do Soczi po to, by uzyskać miano olimpijczyka, bez większych szans na przyzwoite miejsce. Przykładem mogą być biathloniści – żaden z naszych zawodników nie jest bowiem w stanie zmieścić się nawet na miejscach od 50. do 60. Aktualnie mamy wyjątkowo słabutką męską biathlon, dlatego też wysyłanie naszych zawodników do Soczi nie było najrozsądniejszą decyzją. I to z paru względów. Ta dyscyplina sportowa przeżywa dynamiczny rozwój. Swoich sił w biathlonie próbuje coraz więcej zawodników ze wszystkich krajów europejskich, ale także azjatyckich i amerykańskich. Potwierdza to liczba zawodników, którzy przyjechali do Soczi. W konkurencjach biathlonu męskiego startuje najwięcej zawodników (około 130) ze wszystkich olimpijskich dyscyplin, zaś poziom rywalizacji jest coraz wyższy. A u nas?

Po erze, jeżeli tak można powiedzieć, Tomasza Sikory, srebrnego medalisty olimpijskiego z Turynu z 2006 r., nastąpił poważny kryzys. W efekcie męski biathlon (mam na myśli kadrę narodową) wypadł z listy dyscyplin sportowych wspieranych finansowo przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. Brak potrzebnych środków niemal błyskawicznie wpłynął na obniżenie i tak już niskiego poziomu umiejętności naszych zawodników. Start polskich reprezentantów w Soczi jednoznacznie wskazuje, że nasz męski biathlon znajduje się na samym końcu w europejskiej rywalizacji. Jaki z tego wniosek? Należy zająć się szkoleniem młodych i chętnych do uprawiania tej ciekawej, ale i trudnej dyscypliny sportowej. Dodajmy jeszcze, że w biathlonie można zdobyć sporo medali.

Mieliśmy jednak „polski dzień” w Soczi – a to za sprawą Kamila Stocha, który w pięknym stylu wyskakał złoty medal na małej skoczni. Przed olimpijskim konkursem polskiego skoczka zaliczano do kandydatów do podium. Więcej jednak mówiono o skoczkach z Austrii i Słowenii i to im dawano największe medalowe szanse. Tymczasem Kamil Stoch, skacząc ostatni w pierwszej kolejce, pokazał rywalom lwi pazur – skoczył najdalej w pierwszej serii (105,5 metra) i ustanowił rekord skoczni. W drugiej kolejce udowodnił, że jest najlepszy. Skoczył 103,5 metra i był to najlepszy skok drugiej serii oraz drugi w całym konkursie. Piękny i zasłużony sukces. Kamil Stoch zdobył 3. złoty medal – po Wojciechu Fortunie i Justynie Kowalczyk – w historii startów Polaków w zimowych igrzyskach. Gratulujemy!

Czy doczekamy się kolejnego polskiego dnia w Soczi? Przed wyjazdem na igrzyska byli optymiści, którzy liczyli na większą zdobycz medalową niż cztery lata temu w Vancouver. Tam zdobyliśmy 6 medali – 1 złoty: Justyna Kowalczyk, 3 srebrne: dwa Adam Małysz w sokach i Justyna Kowalczyk w sprincie, 2 brązowe: Justyna Kowalczyk w biegu łączonym na 15 km oraz Katarzyna Bachleda-Curuś, Katarzyna Woźniak i Luiza Złotkowska w biegu drużynowym łyżwiarek szybkich.

Trudno mi zrozumieć, skąd wziął się taki optymizm. Ja należałem do tych osób, które uważały, że zdobycie trzech olimpijskich medali będzie sukcesem polskiej ekipy.

Kiedy piszę te słowa, nasza ekipa ma w dorobku tylko jeden medal. Czy wzbogaci się o następny krążek? Szanse są – widzi się je przede wszystkim w występach naszych skoczków. W końcu w konkursie na małej skoczni dobrze radzili sobie Maciej Kot (7. miejsce) i Jan Ziobro (13. miejsce). Odniosłem wrażenie, że pierwszy skok Macieja Kota sędziowie trochę zbyt nisko ocenili. Po nim skakali Austriacy Thomas Diethart i Michael Hayboeck, którzy otrzymali wyższe noty, chociaż nie skakali wcale lepiej od naszego reprezentanta. Postawa naszych skoczków napawa optymizmem. Kiedy ukaże się ten numer Nowego Górnika, znane będą wyniki konkursu na dużej skoczni oraz konkursu drużynowego. Myślę, że będziemy się cieszyć z występów naszych skoczków.

Osobnym rozdziałem w olimpijskiej rywalizacji jest występ Justyny Kowalczyk, z którym wiązano duże nadzieje. Niestety kontuzja stopy skomplikowała występy naszej biegaczki. Mimo kontuzji zajęła jednak dobre 6. miejsce w biegu łączonym na 15 km. Zrezygnowała z biegu sprinterskiego i zdecydowała się wystąpić w biegu na 10 km stylem klasycznym. Bieg odbył się w czwartek 13 lutego.

To praktycznie wszystkie nasze szanse do medalowego podium. Nasi przedstawiciele w pozostałych dyscyplinach mogą jedynie pomarzyć o podium. Każde miejsce w pierwszej dziesiątce, a nawet piętnastce będzie można traktować jako dobre osiągnięcie.

No cóż, należy ze spokojem oceniać występy naszych reprezentantów. W sportach zimowych nigdy nie zaliczaliśmy się do europejskiej czołówki i nic się w tej materii nie zmieniło. Czy może tu nastąpić poprawa? Oczywiście, że tak. Do tego potrzebne są jednak środki, lepsza praca z młodzieżą oraz zdecydowanie lepsza baza treningowa.

Podczas śledzenia rywalizacji w Soczi spodobał mi się reprezentanci Holandii. Skromna ekipa, składająca się głównie z łyżwiarek i łyżwiarzy szybkich, kompletuje olimpijskie medale. W Holandii łyżwiarstwo szybkie jest niezwykle popularne – można je wręcz nazwać zimowym sportem narodowym. Holendrzy skoncentrowali się po prostu głównie na tej dyscyplinie sportowej i kompletują trofea olimpijskie, mistrzostw świata i Europy. Może dobrze by było pójść ich śladem i skoncentrować się na dwóch-czterech dyscyplinach i to w nich osiągnąć najlepsze rezultaty?

